

że jego wyróżnianie pani Wandy i starania się o jej względy powinny w niej wzbudzić uczucia słodkiej wzajemności.

Na równi z innymi okazywał jej troskliwość, a dodatkowo patrzył na nią z zachwytem, łowiąc każde jej słowo, podglądając każdy jej ruch.

Te jego jawne starania się o jej względy, chwilami nudziły i nużyły panią Wandę, ale na ogół pochwalały jej niewieściej próżności, ba, wily ją kwaśne miny innych pań z tego powodu, a przyjemność sprawiała przycinki i aluzje pani Poreckiej, zawiedzionej w swej nadziei wyswatania córki za pana Jedlińskiego.

Tak zwane koncerty odbywały się teraz co wieczora, o ile pani Wanda zostawała w salonie, a śpiewak po zwykłych oklaskach zbliżał się do pani Wandy, by usłyszeć pochwałę, za którą zawsze całował jej rękę, co zresztą czynił przy każdej nadarzonej sposobności.

VII.

Jednego ranka po obudzeniu zdawało się pani Wandzie, że zapewne dopiero jest przededniem, takie szare i niewyraźne światło wpadało do pokoju. Podniosła story i ujrzała nieprzeniknione mgły, w których utonęły wirchy, góry, lasy. Po smugach jaśniejszych i ciemniejszych poznawała, że masa ta biała kłębi się, podnosi, opada i miała wrażenie, że znajduje się gdzieś w głębi oceanu, zamknięta w dzwonie, opatrzoną oknami.

Ubierała się szybko, chciała bowiem wyjść z zakładu, ażeby błądzić wśród tej mgły i doznać nowych wrażeń. Zanim jednak zdążyła zejść, wiatr poszarpał mgłę, rozniósł ją po górach i lasach, wtłoczył w doliny, podniósł w górę i nastał dzień smutny, szary, mokry, zimny.

Góry były przysłonięte, niebo zasnuwane chmurami, z których sieł deszcz, pomieszany ze śniegiem. Wicher jęczał w kominie, tłukł się o węgły domu, uderzał o szyby zmarzniętymi grudkami, jak gdyby błagał o wpuszczenie go do ciepłego pokoju.

Pani Wanda poczuła się dziwnie samotną i opuszczoną, zabrakło jej bowiem towarzyszy, których nie umiemy nigdy docenić, promieni słońca i krajobrazu.

W takich dniach, w samotności, zaczynają wypływać z różnych komór, z kątów zapadłych, z ciemnych głębin, różne wspomnienia smutne, zapomniane uczucia, spełzone marzenia, zagasłe zapawy, zmarnowane nadzieje, doznane zawody, wyrządzone krzywdy sobie i drugim...

I tak się roją, kłębią, męczą, że człowiek radby uciec od siebie i przed sobą. Wówczas tęskni się i szuka dobrego, wybaczonego serca, jakiegoś duszy przyjaznej, nie żeby wypłakać swe smutki, troski i trwogi, ale żeby ujrzeć przyjazny uśmiech i dobre, kochane oczy.

Przy obiedzie, zwykle ożywionym i wesołym, panie były jakieś oswiałe, chmurne i opryskliwe, a z panów młodszy milczeli, starsi zaś utyskiwali na pogodę i dolegliwości rozmaite.

Po obiedzie zamiast jak zwykle zgromadzić się w salonie i prowadzić ogólną rozmowę, towarzystwo rozdzieliło się na małe grupy, przeważnie małomowne, tylko po kątach i na sali były pary szepczące do siebie.

Oczy Ryty były dzisiaj smutniejsze aniżeli zwykle, a matka jej zdradzała swe zdenerwowanie opryskliwością i surowością czynionych uwag.

Pani Wanda szepnęła Rycie, ażeby poszła do niej.

— Muszę mamie powiedzieć, — i podszedłszy do siedzącej rzekła: — mamę, pójdę na chwilę do Wandy.

— A idź, — powiedziała zgryźliwie, — może minie twój zły humor.

Ryta pobladła i poszła z panią Wandą schodami.

— Czy słyszałaś odpowiedź mamy? — spytała tępym głosem.

— Niechcący.

— Tak zawsze, — mruknęła ze ściągniętymi brwiami.

Pani Wanda, wszedłszy do swego pokoju, zawołała mile zdziwiona:

— Ach, jakie śliczne kwiaty!

Na stoliku w ładnym, porcelanowym kielichu stał bukiet róż z rozetami i paprociami. W samym środku były róże ciemnopomarsowe, a otaczały je inne w czerwonych odmianach aż do bladoróżowych, bardzo delikatnych i wykwinionych róż herbacianych. W pokoju unosił się ich lekki, odświeżający zapach.

Obydwie przypatrywały się z rozkoszą pięknym kwiatom, a Ryta spytała cicho:

— Skąd te kwiaty?

— Prawda! — zawołała pani Wanda i zadzwoniła na numerową: — Kto postawił te kwiaty tutaj?

— To ja, jasnie pani.



— Ach, jakie śliczne kwiaty!

— Kto wam dał?

— Kiedy ten pan bardzo prosił, ażeby nie mówić o nim, ale jeśli jasnie pani każe, to muszę powiedzieć.

— A więc, kto?

— Jasnie pan mecenas Jedliński.

— Na ten raz daruję wam, że bez mego zezwolenia wstawiacie mi kwiaty, ale na drugi raz poskarżę się panu doktorowi.

— A niechże Bóg broni, już nigdy tego nie zrobię, — ucałowała rękę pani Wandy i za jednym zachodem i rękę Ryty, która po wyjściu numerowej powiedziała:

— Domyśliłam się, że to on.

— Ja również, i gdyby te kwiaty nie były tak piękne i nie robiły mi takiej przyjemności, każałabym mu oddać.

— Bardzo słusznie, — usiadła Ryta na kozetce, gdzie zwykle gawędziły.

— Nie lubisz go, Ryto?

— Właściwie jest mi obojętny, ale chwilami bywa miły. Teraz mniej, dawniej dość często.

— Skądże ta różnica? — usiadła przy Rycie.

— Wiesz, dawniej, gdy rozmawiał ze mną lub inną, można było wyczuć w jego twarzy,

w spojrzeniu, tę pewność siebie, że rozmowa z nim jest zaszczytem dla mnie.

— A teraz?

— Teraz tobą zajęty i nie kokietuje innych tak zawzięcie. Czy tobie on się podoba?

— Już ci mówiłam, że tak sobie, jako towarzysza zabawy w zakładzie. Wesoły, rozmowny, ładnie śpiewa...

— I mogłabyś się w nim kochać?

— Jakaś ty Ryto dziecinna... a zaraz kochać... Najpierw jestem już za stara na kochanie i nie mogę sobie wyobrazić, ażeby mogła być zakochaną... zresztą tak zwana miłość to chwilowy szal, takie odurzenie, które po zbudzeniu zostawia tylko niesmak, przykrość, jeśli nie nieszczęście, — pani Wanda westchnęła, rozpaczliwy nastrój znów nią zawładnął.

Miała ochotę zwierzyć się i spojrzeć na Ryte, lecz wyczytała w jej twarzy taki smutek i przynębianie, że sama uczuła się silniejszą i spytała ze współczuciem:

— Ryto, dlaczegoś ty dziś taka smutna?

— Wydaje ci się tylko, dziś podobne do wczoraj, a wczoraj do jutra... i tak zawsze.

— Co znowu! — ożywiła się pani Wanda, — po burzy, pogoda! Wczoraj było jasno, słonecznie, dziś dzień wstrętny, i może to on nastrój ciebie tak źle.

— Ten dzień? — spojrzała w okno, przez które widać było ołowiane niebo i szarą, dżdżystą przestrzeń, smaganą przez wiatr, deszcz i śnieg, — ja lubię taki dzień, taką szarugę, taki smutek, bo jest w tem coś pokrewnego.

— Z czym, czy z kim, Ryto?

— Z ludzkim życiem.

— Ach, Ryto, co ty wiesz o życiu!? — westchnęła pani Wanda, — dopiero gdy przyjdą rozczarowania, gdy ci obędą ze wszystkich złudzeń, marzeń, nadziei... możesz coś wiedzieć o życiu. A te drobne przykrości domowe z rodziną, ze znajomymi, wydadzą ci się nietylko błahostką, ale szczęściem, które runęło bezpowrotnie.

Ryta z uśmiechem ironii słuchała, wpatrywała się w smutną twarzyczkę pani Wandy i rzekła:

— Powiedz mi Wandziu, czy ci, którzy cię krzywdzili, albo krzywdzą, żyją, chodzą, mówią, patrzą?

— Naturalnie, — mówiła zdziwiona, — umarłym wszystko się wybacza.

— Więc widzisz, ty z tymi ludźmi czy też osobą, która jest tobie wroga, możesz walczyć, możesz wykazać ich błędy, złość, zawiść... albo też okazać się lepszą, szlachetniejszą, czystsza, i tem samem upokorzyć ich. To jest walka, życie, ty masz przeciwnika, którego demaskujesz i jawnie nienawidzisz... i tem samem jesteś szczęśliwsza od innych.

Pani Wanda, słuchając tych słów, wypowiedzianych tonem ostrym, zawziętym, z płonącym oczyma, podejrzewała na razie, że rozmawia z osobą chwilowo niepoczytalną, ale widząc ją spokojną, odsunęła tę myśl i rzekła tonem serdecznym:

— Moja Ryto, wnoszę z twych słów, że męczy cię jakieś urojone cierpienie. Zwierz się, jestem dla ciebie z wielką przyjaźnią, może wspólnie coś uradzimy.

— Urojenie!? — ironizowała Ryta, — które odczuwam realnie każdej chwili i nie opuszcza mnie ani w dzień, ani w nocy.

— I znasz, Ryto, przyczynę twego cierpienia?

— Znam.

— Dlaczegoż nie usuniesz?

— Bo nie mogę, — odpowiedziała z głębokim smutkiem.

— A więc ty się odsuń sama.

— To jedno mi pozostało, — szepnęła zrezygnowana.

(Ciąg dalszy nastąpi).